Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Środa 8 Listopada Nr. 3. 1837 Roku.

KRWAWY SKARB.

POWIEŚĆ.

(DALSZY CIĄG.)

Obadwaj zapuścili się w głąb lasku. Uszedłszy paręset kroków, Zorian się obéjrzał, a widząc, że byli sami: »Zapewne, « mówił, wstrzymując kroku, waćpan wiész, co mię ku niemu sprowadza? « — » Zdaje mi się, że zgaduję. « — » Zatém nie musi być panu tajną, ani moja miłość dla panny Gordon, ani nadzieja, jaką mię natchnęła przyjmując moje zabiegi. Nie znając stosunków nadających waćpanu prawo do jéj zaufania, tyle wiém, że we wszystkiém słucha twojéj porady. Od waćpana więc będę żądał sprawy z jéj postępowania. Kiedym się starał ją wybadać, zmiészała się, nazwisko twoje do jakiéjś niezrozumiałéj wtrąciła odpowiedzi; łzy jéj wzbroniły mi dalszych pytań. Chciéj mię panie oświecić, zkąd taka nagła w niéj zmiana od czasu, jakeś tu przybył; dla czego Zofija mię unika, i dla czego, na przykład, uprzedziwszy mię, że dziś nie będzie na przejazdce, dla ciebie zmiéniła swój zamiar? « — » Dużo zapytań na raz, « odrzekł zimno pan Korybut. » Co się tyczé dzisiéjszéj przejazdki, chciałem z nią na samotności pomówić, i ułożyliśmy sobie pojechać ku Tenczynowi. « — » Więc Zofija mię zwiodła? « — » Powiédz raczéj, że odmówienie chciała tém niewinném kłamstwem osłodzić. Użalasz się, że nie tak blizko jest z tobą, odkąd tu przybyłem; lecz zastanowiwszy się, uznałbyś, że nim uczyni wybór, od którego zawisło jéj życie, powinna wprzód poznać czego się ma obawiać, a czego spodziéwać. « — » Nie wiém, czy go rozumiem, « odrzekł Zorian rumieniąc się, » lecz jeżeli chodzi o szczegóły tyczące się méj o-

soby, gotów jestem dać one.« — » Słucham tedy. « — » Jestem rodem z Litwy, i dobry szlachcic. Ojciec mój zginął podczas wojny w stopniu majora. Osiérocony, bez majątku, słuchałem chirurgii w Wilnie, i wszedłem jako chirurg do wojska, atoli od półtora roku porzuciłem tę służbę. Co zaś do mego majątku... « Tutaj głos Zoriana stawał się drżący... » o tém najłatwiéj się przekonać: mam 400,000 złp. na banku rządowym. « — » Wszystkie te szczegóły wielkiéj są wagi dla panny Gordon; lecz nie są dostatecznemi, gdy z jednych ust tylko pochodzą. « — » Mości panie! « zawołał Zorian, » to zniewaga! « — » To roztropność. « — » Pominąwszy to wszystko, jakiémże prawem pytasz mię waćpan o te drobnostki? Jak daleko rozciągasz swą władzę nad panną Gordon? A wreszcie, kto sam jesteś taki? « — » Jestem przyjaciel czuwający nad jéj szczęściem, i nic więcéj. « — » A jażbym teraz nié miał prawa powiedzieć, że ta odpowiédź z jednych tylko ust słyszana, nie jest dla mnie dostateczną? « — » Mości panie, « rzekł Korybut wyniośle, » sam mię zaczepiłeś; nie żądałem od ciebie ani zwierzenia się, ani dawania wiary mym słowom; mógłem zadawać ci pytania, nie czując się winnym odpowiedzi. Jeżeli ci się nie podoba to wzajemne nasze stanowisko, tedy rozmowa ta do niczego nie doprowadzi. « — Po tych słowach Korybut pozdrowił Zoriana z zimną grzecznością i powrócił do Foxalu. — Gdy już był u wnijścia, Zofija przypatrująca się z okna rozmowie jego z Zorianem, wychyliła głowę, aby odgadnąć z rysów starca, jaki jéj skutek; lecz zapewne nic nie wyczytała pomyślnego, bo złożyła ręce i głowę zwiesiła na piersi. Korybut rzucił na nią spójrzeniem słodkiego spółczucia, i rzekł po cichu: » Bądź spokojną dziécię, wszystko może się jeszcze zrobić. «

III.

Zorian, zostawszy sam jeden, z razu chciał pobiédz za starcem i żądać od niego tłumaczenia się z ostatnich jego wyrazów; lecz zaniechał zamiaru, z obawy, aby nie zerwać stosunków z Zofiją. To co od niego usłyszał, nié mogło dawać słusznego powodu

do zwady, albowiém mowa starca więcéj tchnęła dumą, niż obrazą; uległ więc okolicznościom. — Odkąd nagła fortuna, któréj źródło znane naszym czytelnikom, zaświtała Zorianowi, natychmiast opuścił był służbę chirurga, i postanowiwszy używać życia, szukał jego rozkoszy w podróżach po Niemczech, Szwajcaryi, i pod pieszczoném włoskiém niebem. Wracając z Wenecyi, gdy przybył do Krakowa, znalazł go jak zwykle na lato wyludnionym, i nie wiedząc, jak się lepiéj rozerwać, wpadł był do Krzeszowic, ożywionych licznemi gośćmi. Pod ten czas zjawiła się tam i panna Gordon. Uderzony pięknością, czystą i spokojną duszą młodéj dziewczyny, korzystał z owego towarzyskiego pożycia, jakie panuje zwykle w kąpielach, i zbliżył się do niéj. Zofija wychowana od piérwszych lat w Anglii, a od nie dawna przywieziona do Polski, gdzie miała blizkich krewnych, bardzo źle się wyrażała w ojczystym języku. Zorian umiał cokolwiek po angielsku. I z téj i z drugiéj strony objawiona chęć ćwiczenia się wzajemnie w tych dwóch językach, ważnym była powodem nie tylko blizkiéj i poufnéj znajomości, ale nawet odłączenia się od reszty gości.— Dwoje tych młodych osób oddało się całkiem wzajemnéj nauce. Zofija rozwijała wszystkie przyrodzone bogactwa swego rozumu i serca; Zorian nie posiadał się z radości, odkrywając w niéj tyle zachwycających przymiotów, i odtąd zrobił rozbrat z każdą rozrywką, z każdém zgromadzeniem, gdzie pięknéj Zofii nie było. Wziąwszy sobie za punkt honoru obeznać ją nie tylko z językiem prawdziwéj jéj ojczyzny, czytywał z nią dzieła krajowych poetów i historyków. Jakże często myśl jakiego autora natrącała im szérokie pole do własnych postrzeżeń i rozumowań, które wychodząc często z obrębów gramatyki lub estetyki, wpadały w krainę marzeń i uczuć, tak niebezpieczną dla dwojga młodych w samotności. Nie wiedzieli sami jak i kiedy z ogólnych pomysłów przeszli do zastosowania onych, z ideałów w rzeczywistość. Kilka tygodni czasu wystarczyło na wszystko, a kiedy Korybut przybył, już sobie otwarcie byli wyznali, że się kochają.— Zjawienie się star-

ca zmąciło pokój ich szczęśliwości. Panna Gordon przedstawiła go Ludwikowi jako przyjaciela swojéj rodziny, którego kochała i czciła, jak ojca, lecz nic więcéj nie spomniała o stosunkach, łączących ich obopólnie. Dla tego téż Ludwik nie był rad temu, gdy spostrzegł, jaką przewagę ów nowo-przybyły wywiérał na umyśle Zofii, i może czuł cokolwiek zazdrości widząc, z jak uprzedzającą czułością byli dla siebie. Na uprzéjme oświadczenia Korybuta dość był oziębły; choć z resztą starzec trzymał się zawsze w obrębach wyrachowanéj powagi, i więcéj był badawczym niż wyléwającym się w rozmowie. To téż najwięcéj gniéwało Ludwika; od czasu zmiany swego losu największy wstręt miał, gdy mu przyszło spomniéć niekiedy o swéj przeszłości. Częstokroć w toku pogadanki, najlepiéj ożywionéj, przytoczenie jakiego wypadku, słówko rzucone nawiasem, psuły mu najweselszy humor; każdy też, kto umiał głębiéj czytać, byłby dostrzégł, że dusza jego miała dotkliwe struny, których nié można było trącić, nawet choćby przypadkiem, bez wyciśnięcia bolesnego, rozdziérającego jęku. — Można się dorozumiéć, iż na zapytania nie wprost czynione mu przez Korybuta, musiał zwięzle i dość opryskliwie odpowiadać, aby go drugi raz nie zagadywał. W rzeczy saméj odtąd starzec unikał podobnych badań, lecz za to tajemnym wpływem swoim tyle musiał dokazać na pannie Gordon, iż coraz mniéj z nim była otwartą i czułą. Ludwik niespokojny, żądał od niéj objaśnienia, lecz nic innego nie otrzymał, tylko słowa ucięte i łzy. Tak właśnie rzeczy stały, gdy między młodzieńcem, a Korybutem przyszło do rozmowy, o któréj namieniliśmy wyżéj.

IV.

Gdy wieczór nadszedł, Zorian zastał pannę Gordon w sali, gdzie się zwykle zbiérało grono kąpiących się. Oddał jéj ukłon i usiadł na przeciwnym końcu koło pani Bonar. Nié mógł on żadną miarą przebaczyć Zofii ślepéj téj uległości Korybutowi, którego nie nawidził. Jakaż być może przyczyna, że się mu z duszą i ciałem powierza? Jestto podległość zbyt trwożna, aby się opiérała na saméj tylko przy-

jaźni, zbyt tkliwa, aby nią władała bojaźń. Jakaś widoczna we wszystkiém tajemnica. Co zaś do nikczemnych przypuszczeń, na jakie się wysilały złośliwe języki kobiét, o tych się Ludwikowi ani marzyło; Zofija aż nadto odsłoniła mu tajnie swojego serca, aby tak dalece mógł ją zapoznać. Zajrzał on w głąb jéj duszy, i widział do dna jak w czystéj krynicy. Nieskażoność bywa czasem tak widoczną, czysta niewinność tak świętą, że w ich obecności nawet wątpienie powstać nié może; patrzysz na nie jak na słońce, i ani ci przez myśl przéjdzie ich bytności zaprzeczyć; charaktery, których wartość wewnętrzna jest podéjrzaną, te tylko wzniecają niepewność, i wtedy obudza się jakiś instynkt, który cię od nich odpycha. Podobieństwo podéjrzenia piérwszą téż jest karą, jaką ponosi cnota wątpliwa. — Pani Bonar nie posiadając się z radości i zdziwienia, że Zorian zajął miéjsce między nią a córką, niczego nie szczędziła, aby się mu podobać. Rozmowa jéj była jakto mówią z różnéj beczki, to natrąciła cóś o swoim pradziadku Żupniku wielickim, to o pięknościach okolic Krakowa, to o malarstwie, wreszcie cóś o swojéj córce, ale żadną miarą nié mogła ożywić pogadanki. Ludwik zniecierpliwiony ciągłém jéj szczebiotaniem i leniwy do odpowiedzi, wyjął swój imionnik i zaczął w nim cóś od niechcenia rysować; ale ciągle oczy jego i myśli zwracały się mimowolnie ku oddalonéj stronie sali, gdzie siedziała panna Gordon. Nakoniec nié mogąc znieść, że Zofija nie stara się go zbliżyć do siebie, odrzucił imionnik i wielkiémi kroki zaczął się przechadzać. — Pani Bonar, spodziéwając się go przyciągnąć, otworzyła imionnik i zaczęła się unosić nad jakimeś widokiem z okolic Neapolu; lecz postrzegłszy, że jéj wykrzyki nie skutkują, i że Zorian ciągle się przechadza, podała swéj sąsiadce książkę, która obiegłszy z rąk do rąk całe grono, przyszła do panny Gordon. Chociaż imionnik był jéj dobrze znany, wszelako zaczęła kartki przewracać, mniéj dla rysunków, więcéj aby miéć przed oczyma jaką robotę Ludwika. Tak przebiegając całą książkę, machinalnie zatrzymała się nad szkicą dzikiego jakiegóś

krajobrazu. Korybut, który obok niéj siedział, zdał się być ździwiony widokiem tego rysunku. — » Ach! to figura pod Swiętym Krzyżem!« zawołał. — Zorian stojący o kilka kroków obrócił się nagle z konwulsyjném drżeniem: » Któż to panu powiedział?« zapytał z niechęcią. — » U spodu taki jest podpis, « odrzekła łagodnie Zofija. — » To zapewne pomyłka; to nie jest widok z pod Śgo Krzyża; ja nawet nie znam Śgo Krzyża.« I wziąwszy z rąk jéj imionnik, spoglądał na ten rysunek: » Widok ten odrysowałem będąc w Szwajcaryi;« i wydarł kartkę i pomiął w rękach ze źle stłumionym gniéwem... Korybut na to wszystko poglądał ze zdziwieniem. Zdało się, jakoby ta scena obudzała w nim osobliwe jakieś spomnienie. Z razu chciał pytać Zoriana, potém niby odstępując zamiaru, oddalił się zamyślony. — Dwa dni upłynęło, a położenie dwojga kochanków nie zmiéniło się w niczém. Ludwik obrażony w swéj dumie, czekał póki Zofija piérwszego nie zrobi kroku, aby się zbliżyć jak dawniéj. Ona ze swéj strony również pragnęła przywrócić harmoniję; lecz surowa konieczność wstrzymała ją. Rzecz była jasna, że jakaś tajemnica wmięszała się między kochanków i trzymała ich w rozłączeniu; albowiém skrytość jaka, posiadana wspólnie, jest rodzajem węzła, który dwa serca spaja ze sobą na zawsze; lecz posiadana osobno, staje się zaporą, któréj sama miłość nie zdoła przełamać. Takie więc stósunki Ludwika do Zofii Bóg wié jak długo mogły się były przeciągnąć, gdyby nadspodziéwany przypadek nie był im w pomoc pospieszył. — Pewnego wieczora; gdy Ludwik powrócił z przechadzki po górach, zmęczony i zbiegany, wszedł do wielkiéj sali i oparł się na oknie. Noc zaczęła się spuszczać w dolinę, tylko na wiérzchołki gór i lasów padał jaskrawy odblask zachodzącego słońca; wźrok jego topił się w tym czarownym widoku, a umysł artysty jak ten ruchomy promień skakał z góry na górę, z obłoku na obłok. W tém głos dobrze znany wyrwał go z téj zadumy, rzucił spojrzenie w głąb sali i postrzegł na drugim jéj rogu Zofię z Korybutem.

Ona siedziała trzymając w ręku list, który zdawała się czytać z wielkiém rozczuleniem. Łzy długim ruczajem spływały po jéj rozognioném licu, i co chwili wykrzyk przerywał czytanie. Widok ten sprawił na Ludwiku niepojęty jakiś skutek. Zapominając o wszystkiém co zaszło, żywo poskoczył ku Zofii, wymawiając jéj imię. Wźrok Korybuta wstrzymał go; lecz ona widziała uniesienie młodzieńca, ona go zrozumiała, i podała mu rękę. Zorian, uradowany, ujął tę rękę i ucałował; potém przypominając sobie obecność starca, zarumiénił się i oddawszy uprzéjmy ukłon zawołał: — »Przebacz panno Gordon; lecz widząc, jak byłaś wzruszoną, nie byłem panem mego uniesienia; obawiałem się, czy może jakie nieszczęście...« — »Och! nie panie Zorian« odpowiedziała głosem drżącym, »list ten wcale niesmutny; płakałam z radości.« I spoglądała na Korybuta, jakby szukając przyprawdzenia słów swoich: »Ten list pomyślny, nie prawdaż zacny przyjacielu?« — Starzec skinął głową i uśmiéchnął się. Tu nastała chwila milczenia, w ciągu któréj kochankowie stali naprzeciw siebie, pomięszani, ze spuszczonémi oczyma. Trzecia osoba zdawała się uczuwać, że jéj obecność w tym razie byłaby okrucieństwem. Rzuciwszy na nich wźrokiem, gdzie się przebijało słodkie współczucie, wziął list z rąk Zofii i wyszedł, żegnając po przyjacielsku Zoriana. — Kochankowie ujrzawszy się samotni, jakby ich razem coś tknęło, wyciągnęli ku sobie ramiona, i Ludwik usiadł obok zapłakanéj dziewczyny.— »Och! jakże dawno,« mówiła, »jakeś tak siedział przy mnie.« — »Było mnie zawołać Zofio! jam tylko czekał twojego skinienia.« — »I mogłażem to uczynić, mój Boże!« — »Któż ci bronił?« — »Niepytaj mię, o nic niepytaj; dziś niech się oddam saméj radości. Czyż nie dość, że mię widzisz szczęśliwą?« — »A krople łez wiszą na twym uśmiechu.« — »Nie otrę ich, niech zostaną Ludwiku, zbyt one słodkie dla mnie; i lubię czuć jak mi płyną po twarzy. Lękam się, aby radość moja nieoschła wraz z niemi.« — »Och! starajmy się, aby nigdy nic podobnego nie zaszło między mną

a tobą, czuję, żebym żyć nie mógł w takim stanie.« — »A ja czyżbym mogła?« — »Czemuż nie unikać nam tych przeciwności, tych chmurek, które tylko rozjątrzają serce? Ty wiesz Zofio, ile cię kocham, chciałżebyś ręce swoje na zawsze w moich, tak jak teraz zostawić?« — Ona spłonęła rumieńcem i zadrżała, a wzniósłszy na niego oczy omdlewające miłością, ukryła czoło na ramiéniu młodzieńca: »Ty wiész, jak tego pragnę,« rzekła po cichu. — »Czemuż zwlekamy nasze szczęście?« — »Niepytasz czylim wolną; czyli osoby rządzące mym losem, nie mają dumniéjszych dla mnie widoków, od których prędzéj czy późniéj odstąpić muszą?« — »Toż jest zapora, która nas przedziela? Zapewnie krewni twoi, gardzą tak nizkim związkiem.« — »Nie Ludwiku, niemówiłam w téj myśli, mnie nie należało mówić. Zaklinam cię na wszystko, nie wywabiaj mię na słowa! Widzisz, że nie od siebie zależę!... Zaklinam cię, nie pytaj już o nic.« — »Tak chcesz, niech będzie.« rzekł z ujmującą uległością, »oddajmy się miłości bez rozumowań, a los niech z nami zrobi, co mu się podoba. Tylko mię nieopuszczaj Zofio, bo w samotności lękam się samego siebie. Twój Ludwik miéwa napady ciężkiego smutku; bądź zawsze między mną, a moją myślą; jak chorego w szpitalu doglądaj mą duszę; tobie ten obowiązek tak przystoi, tobie, któréj tylko skrzydeł potrzeba, abyś była aniołem. Przystajeszże na to, powiédz aniele?« — »Dobrze, dobrze; na wszystko przystaję Ludwiku, tylko chciéj być spokojnym i pogodnego czoła.« — »O, któżby tego niechciał! przyrzekam ci, że wszystkich sił dołożę.« — »I zbliżysz się do Korybuta,« błagała nieśmiało, »o przybliż się, przybliż do niego Ludwiku.« — »Spróbuję.« — »A twoja Zofia« zawołała w radosném uniesieniu, »będzie modlić się, aby się nasze zamiary ziściły.« — Zorian przycisnął ją do serca, a składając na jéj czole pocałunek zmieszany ze łzami: »Módl się i za mnie!« zawołał.

(DALSZY CIĄG NASTĄPI.)

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.